

Skazani za wiarę w cud

Cudaki do więzienia

Nie można było sprawy cudu lubelskiego pozostawić bez aresztowań. Wieść o łzach na obrazie Matki Bożej w lubelskiej katedrze nie tylko poruszyła wiernych, ale wyprowadziła z równowagi ówczesne władze. Nagle okazało się, że ideologiczna walka z Kościołem nie przynosi rezultatów. Nie pozostało więc innego jak ukarać i więzić tych, którzy uparcie wierzą.

Prowokacja kleru, jak ówczesne władze Polski określały wydarzenia z katedry w lipcu 1949 roku, okazała się czymś znacznie więcej niż początkowo sądzono. O wydarzeniach w Lublinie lokalne władze poinformowały natychmiast Warszawę, a ta zaniepokojona „dziwnym poruszeniem” dała znać do Moskwy. W sytuacji, kiedy publikacje w prasie wyśmiewające ludzi wierzących w cud, nie przynosiły żadnego rezultatu zdecydowano się na bardziej drastyczne kroki.

Początkowe aresztowania były starannie zaplanowane. Jedną z pierwszych zatrzymanych była Janina Markiewicz, współautorka odezwy „Co to jest nadużycie wiary”. Była to odpowiedź na publikację zamieszczoną w „Sztandarze Ludu”, ośmieszającą cud. Kolejni zatrzymani, to księża pracujący w katedrze. Wezwani na świadków do Prokuratury Wojewódzkiej w Lublinie, już stamtąd wolni nie wyszli. W podobnej sytuacji znajdowali się ci, którzy otwarcie przyznawali się do wiary i krytykowali zachowanie władz. Wśród nich najliczniejszą grupę stanowili studenci KUL. Najwięcej jednak było aresztowań przypadkowych, prosto z ulicy, zupełnie jak podczas gestapowskiej łapanki.

Twierdza Lublin

Punktem kulminacyjnym wydarzeń lipcowych w Lublinie był dzień 17 lipca. Na Placu Litewskim odbywał się wówczas wiec rządowy skierowany przeciwko „reakcyjnemu klerowi”. W tym samym czasie, w kościele kapucynów na Krakowskim Przedmieściu (kilkanaście metrów opodal Placu), ludzie uczestniczyli we mszy świętej. Teksty liturgii mieszały się z hasłami

antyklerykalnymi z wiecu, dobiegającymi z głośników. Uczestników mszy od Placu Litewskiego odgradzał kordon milicji. Mimo tego doszło do przepychanek między ludźmi. Wtedy do akcji ruszyli funkcjonariusze UB, w cywilu, znacząc kredą ubrania ludzi spod kościoła. Chwilę potem milicja wyciągała te osoby z tłumu pakując na samochód ciężarowy. Uczestnicy mszy szybko zorientowali się w sytuacji i starali opuścić centrum miasta. Okazało się to niemożliwe. U wylotu wszystkich ulic stały samochody i szpalery milicji. W panice zaczęto chować się do bram i na klatki schodowe. Stamtąd jednak wyciągało wojsko. Lublin zamienił się w oblężona twierdzę. Nie tylko w centrum, ale i na rogatkach miasta ustawiono patrole. Nigdzie w Polsce nie można było kupić biletu do Lublina. Problemy z powrotem do domu mieli przebywający na wakacjach mieszkańcy miasta.

Wrogowie ustroju

Aresztowanych wsadzano na ciężarówki i rozwożono do komend milicji na ulice Chopina, Zieloną, Krótką i Cichą. Te jednak nie były przygotowane na przyjęcie takiej liczby ludzi. Zatrzymanych upychano wszędzie, gdzie się dało: w ciemnych małych pomieszczeniach, schowkach, komórkach i piwnicach. Nie mogło być mowy o korzystaniu z toalety, czy wody. Po dwóch, trzech dniach większość zatrzymanych trafiała do więzienia na zamku. Tam najpierw umieszczano ich w celach tymczasowych, gdzie więźniowie przechodzili kwarantannę. Jej długość była różna, zależała od humoru władz więzienia. Średnio trwała od dziesięciu dni, do trzech tygodni. Na zakończenie przeprowadzano wśród więźniów dezynfekcję i dezynsekcję. Kazano rozebrać się do naga i stanąć twarzą do ściany. Dokonywano oględzin ciała więźniów, wysyłano do łaźni, a potem przydzielano do cel. Cudaków, jak nazywano aresztowanych za cud, umieszczano głównie na oddziale IV, przeznaczonym dla wrogów nowego ustroju.

Karcer, czyli loch jak szafa

Oddział kobiecy znajdował się po lewej stronie od wejścia za bramą. Jego okna osłaniały kosze z blachy i krata. Po przeciwnej stronie był oddział męski.

- Warunki były fatalne. W celi było nawet do 50 osób. W siennikach zamiast słomy chyba sam kurz i pył. Przy ich rozkładaniu do spania trzeba było usta zawiązywać szmatą, bo nie było czym oddychać. Było tak mało miejsca, że ubrania więzienne i drewniaki wynosiliśmy na korytarz - wspomina Feliks Wroński.

Za każdą błażostkę niezgodną z regulaminem groziła kara karceru. Powodem do niej mogła być

znaleziona przez strażnika igła z nitką, ołówek czy schowane lustro lub źle zasłane łóżko. Karcer, to specjalny loch pod basztą zamkową, ciemne betonowe pomieszczenie wielkości szafy.

W podłodze znajdowało się specjalne wgłębienie, w którym mieściło się sześć wiader wody.

- Ponieważ nie chciałam wydać koleżanki, która źle zaścieliła łóżko, to na mnie spadła kara karceru. Nie wiedziałyśmy, kiedy przyjdą mnie zabrać. Można było się tego spodziewać w każdej chwili, ale i po kilku dniach. Wiedząc, że najbardziej dokuczliwe w karcerze jest zimno, koleżanki przygotowywały mnie na te dni kary, ubierając w dwie męskie koszule, trzy pary kałeson i trzy swetry. Miałam też ciepłe skarpety i ciapy na gumie. Wszystko byłoby dobrze, gdyby to nie był sierpień. Oczekując na karcer w takim stroju, w upale przechodziłam tortury – wspomina Janina Markiewicz.

Głód

O normalnym jedzeniu można było tylko marzyć. Na śniadanie podawano czarną, niesłodzoną kawę zbożową oraz ćwiartkę chleba, który miał wystarczać na cały dzień. Pieczywo było zawsze stare, często stęchłe. Jedynie skórka nadawała się do jedzenia. Środek był tak gliniasty, że nadawał się jedynie do wyrabiania różańców. Na obiad i kolację więźniowie dostawali najczęściej zupę z suszonej kapusty lub czerwony barszcz okraszony tak obficie jakimś olejem, że trzeba go było najpierw zebrać, by móc zjeść to, co tylko wyglądem przypominało zupę. Najlepszy obiad podawano w czwartki - była to grochówka gotowana na wieprzowinie.

- Początkowo wybierałyśmy z niej ziarenka z czarnymi punkcikami, czyli z robakami, ale najczęściej innych nie było. Doszłyśmy więc do przekonania, że najlepiej będzie jak zamkniemy oczy i zjemy wszystko by zaspokoić głód – wspomina pani Halina Sołtys.

Niewiele pomagały paczki z domu, w których można było tylko przesyłać cukier, cebule i tłuszcz. Coraz więcej osób chorowało.

- Jesteśmy głodne, opuchnięte, nie miesiączkujemy, ale rozmawiamy i dyskutujemy. Są tu różne kobiety, nikt nie narzeka, nie płacze. Nikt też nie godzi się wyrzec swojej wiary – napisała w swoich wspomnieniach Lucyna Kochańska.

Strach

Zgarnięci do z ulicy ludzie, najczęściej bez wyroków sądowych lub z wyrokami kilku lat pozbawienia wolności za próbę obalenia ustroju - takie zarzuty stawiano osobom aresztowanym za

wiarę w cud – nie wiedzieli czego jeszcze mogą się spodziewać. Wzywani na przesłuchania, często w nocy, karani za niemal wszystko, zamieniali się w znerwicowanych, schorowanych ludzi. Zeznania starano się wymusić w różny sposób. Na porządku dziennym było bicie, wyszydzanie i obrażanie. Jedna z osób wspomina: „Spędzają nas do bramy, rozkazują się obrócić do ściany, słyszymy jak wojskowy manipuluje pistoletem. Przeżywam swoją śmierć, jestem zmęczona, zmaltrutowana, wierzę, że on nas zastrzeli”.

Tęsknota

Najtrudniejsze w więzieniu były święta. Każda z nas dostała z domu 7 kilogramową paczkę, w której było wszystko, co najlepsze. Takie paczki można było dostać tylko na święta - wspomina Halina Sołtys – Były tam konserwy rybne, opłatek, ciasta a nawet trafiła się czekolada. W wigilijny wieczór, z braku stołu, rozpostarliśmy prześcieradło na podłodze. Przyrzekłyśmy sobie, że nie będziemy płakać, ale przy łamaniu opłatkiem wszystkie beczałyśmy. Zaczęłyśmy śpiewać kolędy. Kiedy usłyszała je oddziałowa przyleciała do nas i zaczęła krzyżeć „Cicho tam! Ja wam dam kolędy, zamknijcie mordy”. Nie dałyśmy się zastraszyć, coraz to nowe cele zaczynały śpiewać. Wiara nas ratowała.

W końcu przyszła wolność, ale tylko pozorna. Po roku więzienia zwolniono większość aresztowanych za cud. Niestety niemal wszyscy stracili pracę lub nie mogli kontynuować studiów. Musieli też obowiązkowo meldować się na milicji, jako element szczególnie niebezpieczny. Mimo wszystko nie wyrzekli się swojej wiary, a ci, którzy jeszcze żyją, do katedry przychodzą zawsze ilekroć mogą, by popatrzeć na Maryję, która zapłakała.

Relacja fragm.

Cząstka życia

Janina Markiewicz

Byłam wtedy studentką III roku prawa KUL, jednocześnie pracowałam w Biurze Prawnym DOKP. Postanowiłam napisać polemikę do artykułu, który w „Sztandarze Ludu” ośmieszał wiarę. Mój artykuł nie zawierał żadnych rewelacji, to o czym pisałam było powszechnym tematem rozmów. Koledzy powiedzieli mi, że z pewnością redakcja Sztandaru tego nie wydrukuje i poradzili by zrobić z tego odezwę i rozpowszechnić drogą kolportażu. Napisałam więc i podpisałam

Katolicka Młodzież Lubelska i przy pomocy jednego z kolegów przepisałam na maszynie. On mi dyktował a potem kalki schował w piecu. To był 15 lica. O godzinie 18.45 wyszliśmy z pracy. Nigdy tego nie zapomnę. Byłam jeszcze umówiona na KUL-u, tam spotkałam koleżankę, która zaoferowała mi pomoc w kolportażu ulotki. Wracałyśmy do domu o północy. Kiedy zobaczyłam dwa nagle światła samochodu wylaniające się z ulicy od strony Abramowic, tkniętą przecuciem powiedziałam do koleżanki: przepadłyśmy. Ona zbladła. Idziemy w kierunku domu, światła są coraz bliżej. Dodajemy sobie otuchy. Nagle słyszemy: halo, halo, proszę stać. Z samochodu wysiada przystojny mężczyzna i bezpośrednio zwraca się do mnie, zaglądając bezczelnie w oczy. Za chwilę wymienia moje nazwisko. Zrozumiałam, że to wsypa. Mój dom był już otoczony 13 innymi samochodami. Wszystkie światła pogaszone. Dokonano w domu rewizji. Z progu spojrzałam raz jeszcze na obraz Matki Bożej i wsiadłam do samochodu, by pojechać do Urzędu Bezpieczeństwa.